

Kronika tygodniowa.

„Koło polskie“ zaimponowało Dumie. Bodaj czy nie pierwszy raz ten parlament spotkał się oko w oko ze stronnictwem parlamentarnym i usłyszał mowy parlamentarne, wygłoszone w formie parlamentarnej. Przemówienia Dmowskiego, Steckiego i Żukowskiego, wolne od wszelkiej frazeologii, a jasno zaznaczające poglądy i dążenia przedstawicieli narodu polskiego, zrobiły wrażenie i wywołały uznanie nawet tam, gdzie go się spodziewać nie było można. Pomijając entuzjastyczny zachwyt dziennika „Birżewja Wiedomości“, którego wydawca czuje niejako rodzinne sympatie dla Polaków, ze względu na swe pochodzenie z Królestwa, znajdujemy pochwały dla mowców Koła polskiego w dziennikach rosyjskich prawie wszystkich odcieni. Tak „Ruś“, jak kadecka „Riecz“, jak skrajny „Towariszcz“, jak umiarkowane „Słowo“, jak wreszcie wiecznie na nas szczujące „Nowoje Wremia“, przyznają jednomyślnie, że Polacy wystąpili godnie, z taktem, z prawdziwym poczuciem parlamentaryzmu. Gniewa to wprawdzie „Nowoje Wremia“, że Polacy przy każdej sposobności zaznaczali swą odrębność i swe dążenia autonomiczne, ale przyznaje, że oni jedynie pod względem formy okazali się poprawnymi, że „uzasadnili swą reputację subtelnych taktików i ludzi zdolnych“. Mowa pła Żukowskiego według „Słowa“ „przyniosłaby zaszczyt każdemu parlamentowi zachodnio-europejskiemu“. Jedynie rządowa „Rosja“ stara się przekręcaniem mów polskich osłabić ich wrażenie i tę porażkę, jaką one zadały systemowi rządowemu.

Ten sukces polski wprowadził w niemiłe położenie ów odłam naszego dziennikarstwa, który na spółkę z organami istinno-russkimi, kadeckimi, żydowskimi i socjalistycznymi uprawiał szlachetne rzemiosło podkopywania Koła polskiego i lekceważenia jego członków. Czytaliśmy tyle artykułów w tym odłamie prasy polskiej o nicości przedstawicielstwa polskiego, o nieuniknionej jego kompromitacji, o jego reakcyjności i t. d., że kto bliżej, zwłaszcza u nas w Galicyi, nie znał stosunków, kto nie wiedział o przyczynach tego kłamanego pesymizmu, ten rzeczywiście mógł sądzić, że wynik wyborów w Królestwie zapowiadał klęskę przynajmniej moralną, jeśli nie polityczną. Niestety, temu zapatrywaniu szły na rękę i niektóre galicyjskie dzienniki, już to nie mogąc się zorientować w stosunkach Królestwa, już to obsługiwane przez pacholców partyjnej nienawiści, lub co gorzej, z pełną świadomością obalamuujące opinię dla zrobienia sobie satysfakcji na... galicyjskim gruncie. Czerniono, obrzucano błotem, ośmieszano tak wybranych posłów, jak i stronnictwa narodowe, które zwyciężyły przy wyborach w Królestwie. Otóż „dzień polski“ w Dumie rzucił snop światła na tę taktkę, przekonał obalamuconych, że się dali uwieść podejrzeniem rzucaniem bezmyślnie przez doktrynerów, lub tendencyjnie przez politycznych szarlatanów.

Swoją drogą, jakkolwiek się cieszymy z tego sukcesu moralnego w Dumie, chętnie byśmy się go zrzekli za lepsze wiadomości z Łodzi. Zdawało się, że nareszcie w tym nieszczęśliwym Manchesterze polskim nastanie pokój, że po tysiącach krwawych ofiar, po nieobliczonych stratach ekonomicznych, powrócą robotnicy do pracy i do łyżki strawy, jakiej tysiącom ich brakowało. Bo też Łódź stała się prawdziwą krainą łez, prawdziwym padłem płaczu i niedoli — wszak doszło do tego, że nieszczęśliwi rodzice setkami oddawali dzieci swoje do innych miast Królestwa, aby miłosierdzie ludzkie je nakarmiło i ochroniło od śmierci z głodu lub kuli.

W tem strasznym, ostatecznym położeniu, stała wreszcie ugoda między fabrykantami a wielkością robotników. Uderzono w dzwon pracy, wyszli robotnicy do warsztatów i — posypały się kule. Od kilku dni bojownicy stronnictw skrajnych urządzili formalnie oblęgę na robotników pragnących pracować. Każdy dzień, to kilka trupów i kilkunastu rannych. W ubiegły piątek naliczono 300 strzałów. Powstał formalny popłoch, pozamykano sklepy, ustał zupełnie ruch uliczny. Szpitale są przepełnione ciężko rannymi. Pomimo to zapisy do fabryk wciąż trwają. Przez dwa dni do fabryki Poznańskiego zapisało się 3.965 robotników. Cyfra ta najlepiej objaśnia, po której stronie jest wielkość. Całe tłumy pragną pracować — a nieliczna grupa popełnia morderstwa. Dziki, straszny obraz, jakiemu równego nigdy i nigdzie dotąd u nas nie było.

Zagrożone poniekąd jest nawet istnienie Łodzi jako olbrzymiej fabrycznej osady. Wielu fabrykantów nosi się z zamiarem przeniesienia swych fabryk do innych miejscowości, aby uniknąć wielkiego nagromadzenia robotników. Na pierwszym planie są: Kalisz i Łęczyca. Gdyby nie straszne ofiary, to ten wynik strajków byłby nawet pożyteczny. Taka decentralizacja fabrycznego przemysłu miałaby dobre strony, bo ożywiłaby całe okolice kraju i rozbiłaby ognisko germanizacji, jakim jest Łódź wskutek skupienia się żywołów niemieckich. Ciekawą byłaby statystyka poddanych pruskich, zamieszkujących w Łodzi. Sama Warszawa ma ich 16 200. Naturalnie, że większą ich część stanowią Polacy. Ale i tak 4.000 — 5.000 czystej krwi Prusaków, to już za dużo dobrego. Lecz Łódź posiada ich z pewnością kilka razy więcej — a wszystko to jednostki silne ekonomicznie. Są to naprzód milionerzy i panowie krociovi, a następnie dyrektorowie, buchalterzy, kupcy, inżynierowie, mechanicy, oficyaliści, a co najmniej majstrowie i najlepiej płatni robotnicy. Wszyscy oni duchem żyją w Berlinie. Razem wzięwszy, stanowią siłę, przednią straż zaborczej Germanii. Więc nieźle byłoby, aby ta twierdza „Drang'u nach Osten“ została nieco rozbita.

Zanim się to jednak stanie, stolica Germanii urządzi wszeświatową wystawę, jeżeli naturalnie zgodzi się na to cesarz Wilhelm. A zgoda z jego strony nie jest pewna. Uśmiecha mu się, co prawda, rola gospodarza przyjmującego cały świat u siebie. Ileżby to mówek mógł wygłosić, w ilużby to kostiumach mógł się ukazać! Ale ileżby to jednocześnie kosztowało! Przyjeżdżałoby różni monarchowie, książęta, nie brakłoby egzotycznych kacyków. O mieszkanie dla nich mniejsza, gdzieś by się tam ich pomieściło. Ale wikt dla nich i dla całej ich asysty — to nie bagatela. A przyjęcia? a zabawy? a podarunki dla służby? Nie, to za grubo pachnie. A zresztą wystawa to święto pokoju — należałoby na kilka lat schować miecz do pochwy, żyć ze wszystkimi zgodnie, nikomu nie grozić. To żaden interes, zwłaszcza, że i tak wuj Edward urządzi intrygę, proponując częściowe rozbrojenie Europy. Sprawa bardzo głupia, bo propozycja wuja znajduje sporo uznania. Trzeba będzie nie lada zachodów, aby ją obalić. I jak tu w takim czasie myśleć o wystawie, o zaprzestaniu pobrzekiwania szabelką? Ale przedewszystkiem te koszty — brr! Dynastia pruska zawsze brać lubiła, ale rozdawać, to nie w jej zwyczaju.

Gdyby to zresztą posiadać amerykańskie bogactwa. Tam łatwiej o pieniądź niż w Europie o piasek. Tam, na przykład, koszt wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych obliczone są na 15.000.000 dolarów. Sami przyjaciele Roosevelta złożyli 5.000.000, aby go utrzymać, a sam p. Harriman daje 4.000.000, aby go utracić. Bo Roosevelt jest przeciwnikiem trustów, a p. Harriman wyrósł na tem łajdactwie na miliardera. Walka będzie zacięta — trudno przewidzieć, jakie „zasady“ zwyciężą, to jest właściwie, które zasady niezawisłym wyborcom lepiej zapłacić. Bo powszechne wybory (wszak to nieraz słyszeliście), to prawdziwa opinia społeczeństwa. Ta prawdziwa opinia będzie kosztować w Stanach Zjednoczonych aż 15.000.000 (co na nasze skromne koronki wynosi 80.000.000) — ileżby kosztowała fałszywa opinia? Pau Kruszevan, ów słynny pogromca żydowski, jest także za „prawdziwą opinią“, tj. powszechnym głosowaniem. Tylko w Rosyi prawdziwą opinię wyrabiałyby nie ruble, lecz inne, dotkliwsze argumenta.

Opinia, rzecz wogóle ładna. Każdy wie przecie, że miło i pożytecznie jest mieć „dobrą opinię“. Ale dobre opinie są rozmaite. Na przykład, hr. Karol Lanckoroński cieszy się najlepszą opinią mecenasa sztuki. Oto obecnie został honorowym obywatelem miasta Akwilei, a to za wydanie monumentalnego dzieła o bazylice akwilejskiej. Ładnie to z jego strony, że ukochał ten zabytek sztuki. Szkoda tylko, że żaden hrabia, książę, baron, markiz, lord, grand lub inny magnat niemiecki, włoski, francuski, angielski czy hiszpański, nie odwzajemni się nam, wydając np. monumentalne dzieło o Wawelu. Bo ci panowie, jeśli który z nich jest mecenasem, toną w brudnym nacjonalizmie i popierają tylko to, co „swoje“. O ileż my jesteśmy wyżsi! Co prawda, nasze potrzeby są już całkiem zaspokojone, więc musimy wyręczać innych biedaków, co na wydawnictwa monumentalne zdobyć się nie mogą.

Na zakończenie wesoła nowina: mięso potaniało o 10 hal. na kilogramie. Naturalnie, że nie u nas, tylko w Wiedniu.

Następca Petkowa.

Wprawdzie ze śmiercią prezydenta ministrów Petkowa nic się nie zmieniło w Bułgaryi — bo rządząca dotąd partya narodowo-liberalna (stambułowców) nadal pozostała u steru — jednakże ks. Ferdynand był w niemałym kłopotcie, zanim znalazł następcę dla zamordowanego premiera. Wybór jego padł na dra Piotra Gudewa i zdaje się, że nie mógł być trafniejszym.



Następca Petkowa: Nowy prezydent gabinetu bułgarskiego, dr. Piotr Gudew.

Dr. Gudew pochodzi ze Wschodniej Rumelii gdzie przyszedł na świat w 1863 r., jako syn ubogich wieśniaków. Od wczesnej młodości zmuszony był zarabiać na swoje utrzymanie: naprzód terminował u krawca, później był służącym w rozmaitych sklepach. Dopiero, gdy w mieście Sliwnie otwarto gimnazjum, udało mu się przy nadzwyczajnej pracowitości je ukończyć. Nie posiadając jednak funduszy na studia uniwersyteckie, został nauczycielem szkoły okręgowej w Haskowie.

Na tem stanowisku zastała go rewolucja z 1885 roku i wojna serbsko-bułgarska, w której wziął udział, jako członek płowdiwskiej legii studenckiej. W dwa lata później udało mu się wyjechać za granicę, gdzie studiował prawo na uniwersytetach w Paryżu i Brukseli i gdzie też otrzymał stopień doktorski.

Już w roku 1892 otrzymał urząd szefa sekcji w ministerstwie oświaty; ustąpił zaś z tego stanowiska po dwóch latach, gdy upadł Stambułow, którego był gorącym zwolennikiem.

Pomimo bardzo jasno określonych przekonań



Cygan i hrabianka: Wilhelmína hr. Festetics z przyszłym mężem swym, cyganem Nyarim Roudim.